

Mikołaj Trzaska

W jednej z naszych poprzednich rozmów dość sceptycznie wypowiadałeś się o metodzie twórczej Kena Vandermarka. Chodziło m. in. o drobiazgowo przygotowanie materiału, który ma stać się przecież muzyką improwizowaną. Mówiłeś, że priorytetem jest dla Ciebie energia i ekspresja. Co teraz sądzisz o metodach pracy Vandermarka i jak się czuleś w tym trochę obcym dla Ciebie świecie?

To prawda, mówiłem, że Vandermark nie należy do mojego świata, że nie jestem jego fanem. I rzeczywiście nie byłem, teraz przyszło mi zmienić zdanie. Niewykluczone, że głównym powodem tamtych moich wypowiedzi były kompleksy. Zdarza się, że jeśli czegoś się boję albo czegoś zazdroaszczę od razu mówię, to coś jest fatalne. Za to teraz, *Resonance* jest dla mnie niezwykłym doświadczeniem. Ken ma swoją metodę, która robi na mnie ogromne wrażenie. To fakt nie zaprzeczalny, nie zmieniłem przeto radykalnie swoich sposobów pracy, chociaż nie ukrywam, że udział w tym projekcie wywiera na mnie duży wpływ, wciąż podlegam różnym wpływom.... Jestem w ciągłym rozwojowym ruchu. Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy i znowu zacieśniłem współpracę z Peterem Brötzmannem, Oprócz tego nagrywam z Johannesem Bauerem, który też ma ogromny udział w moim rozwoju. Ciągłe się uczę, każdy z nich ma zupełnie inną szkołę. Geniusz tej muzyki polega na tym, że tak różne osobowości mogą spotkać się razem i robi jedną rzecz.

Czyli już wiemy, że zmieniłeś zdanie, pora na drugą część pytania: jak się odnalazłeś w tym zespole?

Na początku miałem trochę problemów i obaw, Tak mi się czasem zdarza. nigdy dotychczas nie uczestniczyłem w takiej muzycznej armacie. Dziesięć silnych osobowości, dziesięć dzikich zwierząt, które spotykają się, żeby razem wypracować coś naprawdę świetnego. Myślę też o kompozycjach; Ken stworzył piękne i delikatne utwory, miejscami bardzo czułe, odsłaniające kobiecą niemal stronę jego osobowości. Kiedy je usłyszałem po raz pierwszy, poczułem je i wszystkie obawy znikły. Nie jestem dobrym „czytaczem” nut, nie najlepiej sobie radzę z partyturami, ale Ken tłumaczył mi: „właśnie po to mamy dwa tygodnie prób, żebyśmy mogli wszyscy się tego nauczyć, choćby ze słuchu”. Sądzę, że sobie poradziłem i jakoś się odnalazłem.– miałem nawet poczucie zniknięcia, zatopienia się w tym projekcie, a to chyba najważniejszy moment, kiedy muzyk traci poczucie odrębności. Staje się częścią maszyny

Pamiętasz jakiś konkretny moment, w którym poczułeś, że rozplywasz się w zespole? Na próbie? Podczas koncertu w małym składzie?

Właściwie od samego początku, kiedy zobaczyłem nas wszystkich razem w jednej sali, skoncentrowanych i gotowych do pracy, Dostyc istotnym fundamentem całej sytuacji jest fakt, że muzycy przychodzą na próby bardzo skończentrowani i punktualni, mimo że często siedzieliśmy w knajpie do świtu. Jeżeli próba jest o 10⁰⁰, to nie znaczy, że o tej porze zaczynamy się schodzić. O 10⁰⁰ jesteśmy w komplecie, mamy rozgrzane instrumenty, a nasze nuty leżą na pulpitach. Mówi się cicho i gra się też tak, żeby każdy wszystko słyszał. Dobra szkola, dla nas Polaków.

U nas nic nie dzieje się o czasie i nie stwarzamy sobie ma podstawowych warunków, które mówiłyby o wzajemnym szacunku.

A tutaj w Alchemii – niebywały widok: wiesz, że masz do czynienia z *Muzykami* znanymi ze swojej wyobraźni, często nawet kojarzą się z nieokiełznaniem, i nagle widzisz, jak zakładają okulary i w skupieniu czytają nuty. Takt po takcie analizujemy materiał, gramy fragmenty, a jeśli coś nie wychodzi, powtarzamy jeszcze raz i jeszcze raz.

Ken jest szalenie cierpliwym człowiekiem. Zależało mu na tym, żeby grać z muzykami, z którymi już pracował, doskonale zdaje sobie sprawę, kto w czym jest najlepszy i wyznacza ludzi do właściwych zadań. Ani razu nie obciążył mnie czymś, czego nie był bym mógł zrobić, przeciwnie – kilkakrotnie naprawdę dawał mi fory. Dał mi dużą szansę i myślę, że każdy z uczestników ma podobne wrażenie. To jest niezwykle! Dziesięciu muzyków i każdy coś dostał. To jest jego geniusz. Bezwątpiwnia.

Z jednej strony to oczywista rzecz, że muzycy zgrywają się i w miarę upływu czasu ich wzajemne zrozumienie jest coraz głębsze. Ale przychodząc codziennie na próby i koncerty, mieliśmy bardzo mocne odczucie, że właśnie ty z dnia na dzień rozwijałeś skrzydła.

To miłe, co mówisz, szczerze powiedziawszy chyba wiem, z czego to wynika. Wbrew pozorom, które stwarzam, jestem człowiekiem dość wstydlwym, potrzebuję komfortowej, intymnej sytuacji, żeby się otworzyć. To zwykły ludzki strach przed czymś nowym. Akurat u mnie lęk jest podstawowym napędem pracy i rozwoju, chęć przekraczania go, pcha mnie do przodu.

Byłem poprostu speszony obecnością obok siebie takich zawodników, a to pierwsza liga światowa, musiałem się co chwilę przekonywać, że wszystko jest na swoim miejscu. Mogę dodać, że po tym projekcie bardzo dużo się zmieniło w moim życiu i w mojej głowie.

Otworzyły się nowe możliwości, które wcześniej nawet nie zdolaly być marzeniami. Miłe jest uczucie, kiedy koledzy z *Resonance'u* dzwonią,

zapraszają mnie gdzieś i chcą coś znowu razem robić. Myślę, że każdy muzyk, potrzebuje potwierdzeń.

Od od czasów Miłości, byłem czarną owcą „Polish Jazzu“. Ciagle zresztą gdzieś nią jestem, nie chcąc i nie chodząc na *jam sessiony* do klubów. Jestem świadomy, że odbior mojej osoby w środowiskach ultra mainstreamowych jest pełen obaw.

Nawet „koledzy“ mówią „aha, Trzaska świruje, „Gra z wielkimi gwiazdami to mu się teraz wydaje że sam jest nie wiadomo kim.“. Problem polega na tym, że w tej muzyce w istocie nie ma miejsca dla gwiazd. W moim mieście traktuje się mnie niby z szacunkiem, ale tak trochę jakby przez szmatkę, często nie jest to przyjemne. Koledzy jazzmani nie przychodzą na moje koncerty. Przychodzą za to ci, którzy zajmują się muzyką rockową, punkową i eksperymentalną.

Np. Marcin Dymiter, Michał Gos i Wojtek Mazolewski przyjdą, bo są ciekawi muzyki. Ortodoksyjne środowisko jazzowe nigdy sobie na to nie pozwoli.

Był u nas Brötzmann – nikt nie przyszedł, był Michael Zerang – to samo. To jest smutne i rozpaczliwe, kiedy przyjeżdża Friis Nielsen, a na widowni nie ma żadnego basisty z Gdańska. Nie ma nikogo, kto by posłuchał, jak można grać swing w inny sposób. Mister Vandermark nie gościł w Gdańsku ani razu bo szfowie klubow nie do końca wiedza kto to jest.

Czasem czuję się jak mały, malutki piesek, czasami mam wrażenie, że wyszedłem z jakiejś obskurnej stodoły oblepiony jakimiś piórami, cały w jakiejś słomie mentalnej (śmiech). Do tego jeszcze, kiedy przebywam dłuższy czas w domu, mam (mimo że ćwiczę) objawy pewnej abnegacji – tyję, jestem zarośnięty i śmierdzący, więc jak już się umyję i wyjeżdżam do wielkiego miasta, mam poczucie... przerażenia.

To ciekawa metamorfoza (śmiech). Jeden wywiad z tobą nosił tytuł *Jestem nagim rekinem*, a teraz czujesz się jak malutki piesek? Co się stało?

Straciłem płetwę w tej walce (śmiech). Już nie jestem wojownikiem, pierdołę to. Zmieniło mi się.

A to szkoda, bo właśnie chcieliśmy cię zapytać o element rywalizacji w *Resonance'ie*.

A gówno! (śmiech) Właśnie to jest zaskakujące, że nie usłyszałem tam takiego momentu. Czasy rywalizacji już się dla mnie skończyły. Zresztą właściwie skończyły się, kiedy opuściłem Miłość, Łoskot i braci Olesiów. Być może ja się zmieniłem. To jest najbardziej prawdopodobne – przeszły mi pewne neurotyczne stany dotyczące ambicyjek, potrzeba ciągłego upewniania się,

iż jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Przepraszam za psychologiczny charakter tej rozmowy, ale muzyka jednak ma w sobie element psychoterapeutyczny, który odgrywa w moim życiu bardzo ważną rolę. Prostu jakiś czas temu dałem sobie wytrącić oręż z ręki, przestałem dorysowywać sobie wąsy mające tworzyć wrażenie że jestem poważny, przestałem dorabiać sobie hardą gębę.

Pytanie o rywalizację było trochę prowokacyjne, bo przecież słuchacze koncertu w Muzeum Manggha mogli obserwować wyraz szczerego uznania na twojej twarzy podczas solówek Dave'a Rempisa.

W istocie każdy muzyk w tym składzie mnie fascynuje, a praca z drugim altistą jest nie lada spotkaniem. Jest czymś ogromnie inspirujące grać z Davem. Niby gramy obaj na altowych saksofonach ale w rzeczywistości są to dwa odmienne brzmienia, odmienne style, odmienne techniki, inne historie do opowiedzenia. Polubiliśmy się i cały czas utrzymujemy kontakt, wygląda na to że spotkamy się tej jesieni w Chicago.

Zjawisko spotkania dwóch saksofonów altowych odkryłem w czasie trasy z Joe McPhee. To człowiek gra na instrumencie a nie jego instrument na człowieku. Współpraca z Joe była szczególnie ważna, McPhee jest poza wszelką rywalizacją. Należy do tej grupy muzyków, z którymi jeśli zaczniesz konkurować, to automatycznie kończysz natychmiast brzmieć.

Dobrze, zaczekamy, tymczasem wróćmy do *Resonance'u*. Marek Winiarski zapowiadał jako spotkanie muzyków, ale również spotkanie różnych kultur. Mieszkańcy Europy Środkowej lubią ujmować rzeczy w ten sposób, ale prawie wszyscy członkowie *Resonance'u* mówili nam, że ten aspekt nie miał dla nich szczególnego znaczenia. Jakie są twoje zapatrywania na tę kwestię?

Widzę te różnice bardzo wyraźnie. Oczywiście jestem świadomy, że na pewnym etapie rozwoju wszyscy słuchaliśmy tej samej muzyki, ale jest jedna rzecz, która nas różni. To ona jest cechą narodową i sprawia, że gdyby tu byli sami Amerykanie, ta muzyka brzmiałaby zupełnie inaczej. Chodzi o to, że nasze mamy śpiewały nam inne kołysanki. Rozmawiałem o tym niedawno z Brötzmannem i jestem przekonany, że tak właśnie jest. Otóż kiedy ktoś już jest naprawdę pijany, śpiewa albo *Góralu, czy ci nie żal*, albo szwedzki czy niemiecki odpowiednik takiej najbardziej podstawowej piosenki. Myślę, że muzyka doprowadzona do takiej ekstremalnej sytuacji, kiedy warunki przypominają tragiczną burzę na Atlantyku, kiedy jest 12 stopni w skali Beauforta i właściwie wszyscy toniemy, wtedy ten pierwotny ryk sprowadza się do *Szła dziewczeczka do laseczka* albo *Góralu, czy ci nie żal*. Wydaje mi się, że każdy ryknie swoją „kołysankę” – taką bazową melodię. Oczywiście nawet te

podstawowe melodie mają pewien wspólny rdzeń, np. polskie pieśni ludowe i pieśni Aylera mają bardzo dużo wspólnych cech melodycznych, podobnie jak *Lonely Woman* Ornette'a Colemana jest bliskie muzyce chasydzkiej. Jednak trzeba pamiętać o tym, że o sile i smaku muzyki decyduje to, że tutaj dodajesz tymianku czy lubczyku, które rosną na polskiej łące, a gdzie indziej pieprzu, który pochodzi z Indii. Kluczowe jest przecinanie się tych elementów. Muzyka improwizowana jest próbą budowania idealnej demokracji, gdzie każdy ma swoje miejsce. Jak w szachach: każdy porusza się swoim ruchem, inaczej wieża, inaczej konik, a inaczej goniec, a wspólnie tworzą jakieś społeczeństwo, które rewelacyjnie funkcjonuje, cały czas tworząc coś nowego. Dla mnie muzyka jest modelem społecznym, ma charakter socjalny, więc nie może być mowy o rywalizacji. Jeśli zaczynasz rywalizować, to oznacza, że zaczynasz sięgać po władzę, a wtedy jesteś zgubiony. Tu chodzi o to, żeby budować system demokratyczny, czyli każdy musi być totalnym egotykiem przy jednoczesnym absolutnym współczuciu. Każdy musi słuchać tylko siebie, słuchając tylko innych. Ta symultaniczność zachowań przypomina trochę mowę ptaków, które podobno słyszą tylko wtedy, kiedy śpiewają. Ciekawym jest paradoks, że w tym modelu idealnej Demokracji istotna jest nasza odmienność a nie podobieństwo. To walsnie jest elementem inspiracji

Mówisz o komunikacji zawartej w muzyce, a ja chciałbym cię zapytać o metakomunikację, o rozmowy o muzyce toczone w takim wielonarodowym składzie. Nauczyłeś się czegoś nowego w tej kwestii?

Hmmm, muszę się zastanowić, ale na pewno w każdej sytuacji uczę się czegoś nowego.

Myślę, że długie rozmowy o muzyce, które prowadziliśmy, często do świtu, z Chłopakami, ten nieformalny czas spędzony razem ma kolosalne znaczenie. Michael Zerang mówił niedawno, że pierwsza próba podczas ostatniej trasy Tentetu Brötzmana odbyła się przy obiedzie. Później po prostu weszli na scenę i zagrali, a próba miała postać rozmowy. Ludzie muszą się dobrze poznać.

Zdążyliście tego dokonać?

Myślę, że część z nas jakoś związała się ze sobą emocjonalnie, więc plkakałem ze wzruszenia, kiedyśmy się rozstawali. To było poruszające i jestem naprawdę wdzięczny Kenowi i Markowi, wszystkim muzykom ale też wszystkim organizującym całe przedsięwzięcie, Alchemikom, Ance Czarnej przyjaciołom że mogłem uczestniczyć w tym wydarzeniu.